



ROZDWOJONA W ŚWIADOMOŚCI

JOANNA
SZCZEPKOWSKA

ROZMAWIA JACEK RAKOWIECKI
FOTOGRAFOWAŁ ROBERT WOLAŃSKI

FOYAA N. 11

05. 2005



FOYAR N. 11

OS. 2005.



FOYER: Kiedy przed kilkoma dniami umawialiśmy się na rozmowę, nie zdawaliśmy sobie sprawy, w jakim momencie ona nastąpi. Rozmawiamy bowiem w czwartek, w przeddzień pogrzebu Jana Pawła II. W przeddzień pogrzebu, ale w samym środku tego, co się w wyniku jego śmierci dzieje w świecie, w Rzymie, ale szczególnie w Polsce. A dzieje się coś niesłychanego. Coś, co można porównywać z pierwszą papieską pielgrzymką do Polski połączoną z Sierpniem '80. Owszem, wtedy były to święta radosne, a dziś mamy dni pełne smutku. Jednak zaskakujące jest, jak wiele w tym smutku jest pogody.

JOANNA SZCZEPKOWSKA: Jest czas siewu i czas zbiorów. I wydaje mi się, że zaczął się czas zbiorów. Czas zbiorów tego, co on zasiał w sensie traktowania życia i śmierci. Popatrz, wokół tej śmierci nie ma uczucia przynębienia. To wszyscy mówią. Przynębienie otępia. On do końca chciał uczestniczyć w życiu, nie dawał się otępieniu. W mediach codziennie mamy przed oczami jakąś śmierć brutalną, pokazywaną w pośpiechu, już ona do nas słabo dochodzi, te przerażone twarze w obliczu śmierci są codziennością. Może my nie, ale pomyśl o dzieciach, które razem z rodzicami przy kolacji codziennie oglądają jakąś śmierć sprowadzoną do mignięcia na ekranie. A Papież nam uświadomił, że umieranie to etap życia. Że można je przeżywać tak, jak się przeżywa inne zjawiska, jak święto. To było nam bardzo potrzebne.

F: Możemy mówić „siew i plon”, a możemy też jeszcze bardziej wprost: że trzeba stracić, żeby zyskać. W listopadzie w redakcji prowadziłem panel z bp-em Tadeuszem Pieronkiem, prof. Januszem Czapińskim, Jackiem Żakowskim i Piotrem Cieplakiem o stosunku Polaków do Papieża na kanwie sztuki „Narty Ojca Świętego” Pilcha. Wtedy sporo było we mnie niepokoju. Dziś patrzę i młodnieję. Młodnieję, bo to młodzi nadają dziś ton. I sądzę, że to nie chwilowe. Czy na naszych oczach powstaje jakaś całkiem nowa jakość, która z czasem zacznie przekładać się na jakość naszego życia?

JSz: Na pewno, ale na to trzeba patrzeć cierpliwie. To nie będzie przecież tak, że nagle oczyścimy się ze słabości, ale ta śmierć nastąpiła w momencie, w którym wszyscy pogrążamy się w jakimś chaosie. I stała się nagle jakaś przerwa, jakieś wielkie „stop”, i to już jest doświadczenie naszego współczesnego życia, jakieś wspólne przeżycie, które nas kształtuje. Pojawiła się potrzeba zadawania pytań, potrzeba dotarcia do istoty świadectwa pozostawionego przez Papieża. I młodzi ludzie zaczynają o tym mówić, czytać encykliki, powtarzać sobie, kiedyś powtórzą to też swoim dzieciom. Powstaje wartość, która dla jednych może być doświadczeniem dla innych przemianą.

F: Wczoraj nagle zastanowiłem się, dlaczego zupełnie inaczej ogląda mi się telewizję — to upiorne medium, z którego poznajemy cały świat w postaci przeżutej papki. Ta telewizja jest nagle bez reklam i bez polityków. Czyli Polska, czyli świat bez reklam i polityków. A te dwie rzeczy od jakiegoś czasu coraz częściej i mocniej zaczynają wyrażać rytm naszego życia. Nawet jeśli próbujemy się od nich odwracać plecami i twierdzimy, że odrzucamy wszystkich polityków, a reklamy (guzik prawda) na nas nie działają. To była zupa, w której nie tylko permanentnie pływałam, ale chyba już zaczynałam tonąć. Jest tylko jeden problem: za kilka dni i reklamy, i politycy wrócą.

JSz: No bo wróci normalne życie, które on tak kochał. Co do polityki, to wiesz, ja ją lubię, zwłaszcza w telewizji. Naprawdę. Przecież to fantastyczne, że możesz z bliska zobaczyć oczy człowieka, który decyduje o twoich podatkach. Telewizja nawet jeżeli chce coś podfałszować to w rzeczywistości obnaża. Reklamy zresztą też obnażają. Bywają genialne, dowcipne, a bywają cyniczne i głupie. To widać. Zawsze za tym wszystkim widać człowieka. Mnie się zresztą dużo rzeczy podoba. Nie mam samochodu, dużo chodzę na piechotę i często rozmawiam z ludźmi. Jeżeli na przykład wykrywa się i stawia przed sądem kolejne korupcje, nikt nie mówi, że to dobrze, że coś w takim razie się poprawia, skoro tego złodzieja nakryli. Przeciwnie, dla ludzi to nie dowód normalności, tylko mówią: „No popatrz, pani, sami złodzieje nas otaczają”. Zawsze widzimy chętniej wszystko od szarej strony, taki jesienny kraj jesteśmy.

F: Od czasu afery Rywina przeprowadziłem dziesiątki rozmów z ludźmi tak samo wyklinającymi, którym jednak stawiałem jedno kłopotliwe pytanie: „Czy ty nigdy w życiu nie dałeś w łapę policjantowi, lekarzowi, urzędnikowi?”. Nie po to, żeby ich zrównywać z wielkimi aferzystami, tylko żeby unaocznic, że ci rządzący nami aferzyści wyszli spod ręki nas, nikt ich, jak za komuny, nie przywiózł w teczkach. Że ci na górze zostali przez nas wybrani, nawet jeśli nie poszliśmy na wybory, bo niepójście to też głosowanie. Nie moralizuję tak, by twierdzić, że zło jest wszędzie. Przeciwnie. Aby uświadomić, że nie ma już wygodnego podziału „my—oni” i że nie jest prawdą, iż zapanuje u nas raj

Mam ciągłą potrzebę rejestrowania szczegółu, detalu, czyjejś twarzy. Właściwie często nie jest tak, że ktoś przystaje i przygląda mi się, tylko odwrotnie. To gapienie się na ludzi to pewnie ta literacka część mojej natury. Aktorzy tak się nie zachowują

na ziemi, gdy wszystkich „ich” się wykosi. Skoro zło jest też w nas, to bardzo wiele zależy od nas.

JSz: Czekaj, jak tak mówisz, to gorączkowo od razu zaczęłam się zastanawiać... ale nie, ja jednak nigdy nie dałam żadnej łapówki.

F: No to jesteś druga albo trzecia spośród moich rozmówców.

JSz: Może ze względu na moją desperację i może też dlatego, że osobom publicznym rzadziej się proponuje.

F: Bo „walutą” bywa też kontakt z osobą publiczną. Do portfela sięga zaś szarak.

JSz: No tak, ale te afery się wykrywa. I myślę, że teraz już trudniej mrugnąć tym okiem.

F: Też tak myślę. I wcale nie chcę krakać. Sądzę jednak, że takie rozumienie uczciwości, w którym mniej zżorzec się brzydkim bliźnim, a częściej samemu robi się rachunek sumienia, jest też bliższe papieskiemu rozumieniu człowieczeństwa. On nigdy nie mówił „oni”, a zawsze o własnej odpowiedzialności i odpowiedzialności chrześcijaństwa i katolicyzmu za różne rzeczy przeszłe i dzisiejsze. A także o winie, którą musimy umieć brać na siebie i rozliczać się z niej. Tymczasem my, Polacy, do spółki z mediami zachowaliśmy na własne potrzeby dyktando uzasadnioną w czasach komuny: „my, tacy fajni, gnębieni nie wiadomo dla czego przez paskudnych »onych«”.

JSz: Systemy totalitarne, które dziś znamy pod postacią wielkich firm i koncernów, mają to do siebie, że wkładają ludzi słabych. I nie jest tak, że każdy człowiek jest w stanie przezwyciężyć swoje lęki. A system żeruje na tym. Komuna była w tym perfekcyjna, ale system pieniądza przecież też do góry nogami wywraca system wartości. Dlatego takie „stop”, jak odejście autorytetu, jak śmierć Papieża, to jest moment na pytanie o sens tej gonitwy. Ale ja myślę, że jeśli w związku z odejściem Jana Pawła mamy nadzieję na jakąś duchową rewolucję, to ona się wyrazi w większej otwartości na drugiego człowieka – i tego nie należy wypatrywać w telewizji, nie tam, gdzie są kamery, tylko dookoła, na ulicach, w domu. Ja się dowiedziałam o śmierci Papieża w pociągu. Do przedziału weszła jakaś kobieta i powiedziała o tym. Potem poszła do innych przedziałów, bo czuła ogromną potrzebę podzielenia się tym z innymi, później zaczęłam z nią rozmawiać i trzymamy kontakt do dziś.

F: Historia z pociągu, którą opowiedziałaś, a także choćby lektura twoich felietonów, sprawia, że czegoś nie rozumiem. Jak medialna osoba, czyli taka, która właściwie z zasady musi unikać kontaktu ze „zwykłymi śmiertelnikami”, zachowała taką otwartość na przypadkowo spotykanych ludzi? Sam brak samochodu tego nie wyjaśnia.

JSz: W dużym stopniu wynika to z roztargnienia... ja po prostu zapominam, że mam znaną twarz i chyba swoim zachowaniem nie prowokuję żadnej natarczywości. Nie przemycam się, nawet nie chodzę, tylko ła-

Jestem słuchaczem. W Powszechnym siedziałam w bufecie i gapiłam się na kolegów. Nawet kiedyś jeden z nich skomentował z westchnieniem fakt, że nie udaje się w rozmowę i siedzę jak idiotka – „a felietony takie ciekawe”

zę po ulicach, często ludzie mi mówią po prostu dzień dobry i tyle. Ja dużo spaceruję, mam ciągłą potrzebę rejestrowania szczegółu, detalu, czyjejś twarzy. Właściwie to często nie jest tak, że ktoś przystaje i przygląda mi się, tylko odwrotnie. To ja przystaję i gapię się na kogoś. A to gapienie się na ludzi to pewnie ta literacka część mojej natury. Aktorzy tak się nie zachowują.

F: A aktor nie powinien też zbierać takich okrucichów do swojego warsztatu?

JSz: Wiesz, moim zdaniem talent aktorski niekoniecznie bierze się z podpatrywania, tylko gdzieś ze środka. Aktor z małym IQ, a z dużym talentem jest w stanie znakomicie zagrać inteligenta, a z wysokim IQ, ale bez talentu nawet idiota nie zagra. Aktorzy zachowali wiele z dzieciństwa, czyli z właściwej temu wiekowi spontanicznej umiejętności zabawy i udawania kogoś innego.

F: Też miałaś tak w dzieciństwie?



JSz: O tak. Chodziłam po ulicach jako Sophia Loren, Brigitte Bardot, poza tym byłam gwiazdą wszelkich akademii na wszelką cześć, bo kochałam występować, być w centrum uwagi, ale tylko w relacji ja-publiczność. Na korytarzach w szkole przemycalam się.

F: *A mnie od zawsze wydawało się, że warunkiem koniecznym do aktorstwa jest spora dora ekshibicjonizmu.*

JSz: Warunkiem gwiazdorstwa. Aktorstwa niekoniecznie. Tu raczej jest ważne pytanie o stopień ekstrawertyzmu, który towarzyszy aktorstwu. I to jest skrajna różnica między naturą pisarza i aktora. Pisarze powinni być introwertyczni, bo pisanie wymaga samotności, ciszy, intymności. A zawód aktorski wymaga na ogół pracy zespołowej, uprawia się go na oczach publiczności, bez znieczulenia, że tak powiem.

F: *I jeszcze jedna różnica. Pisarz jest absolutnie suwerenny w swoich decyzjach i jak Pan Bóg stwarza świat. Aktor jest „podwykonnawcą”. Może oczywiście tworzyć swoją kreację, ale w ostatecznym rachunku wykonuje czyjąś — dramaturga, reżysera — wizję.*

JSz: No właśnie. Pisarz jest reżyserem swojej książki, aktorami, wszystkim. A aktor, nawet jeśli podczas prób przebił się ze swoją wizją roli, i tak gra na tle scenografii, która już nie jest jego dziełem, a wyznacza przecież świat, w jakim on się porusza. Nigdy nie zapomnę swojego doświadczenia z Rachelą. Reżyser miał znakomity pomysł, żeby to była w moim wykonaniu zakomplek-

siona stara panna, taka mądra bidusia szara, ściszona, z ogromnym temperamentem ukrytym głęboko. Próby były fantastyczne, aż tu nagle w ostatniej chwili przychodzi kostium — piękna młodopolska suknia wampa tkana ręcznie, czarna, z trenem, plecy odkryte i tak dalej. No i w tym całym kostiumie rola się wyzerowała.

F: *Nie klóciłaś się?*

JSz: Nie. Piękna suknia, wybitny kostium od strony malarskiej, znakomita scenografia; to jest część teatru. Pal sześć rolę. No widzisz i jak ja mogę być aktorką?

F: *Ale równocześnie mówi się o tobie, że nie idziesz na kompromis, nie ulegasz.*

JSz: Ulegam, jeżeli kogoś szanuję. Ja kocham coś współtworzyć z prawdziwymi ludźmi teatru. Nie ulegam natomiast niewydarzonym Napoleonom reżyserii, którym się wydaje, że jak się mogą rozeprzeć w rzędach na próbie, to mają władzę nad ludźmi. Kiedyś jeden z takich reżyserów, filmowy zresztą, wybierał ze mną kostium w magazynie. Miałam w tym filmie dobrze wyglądać, a on z satysfakcją sięgnął po jakieś okropieństwo i powiedział: „Będiesz w tym grała”. Ja natychmiast wyczułam, o co temu człowiekowi chodzi — chciał, żebym w tym momencie dostała jakiejś histerii, chciał mnie zobaczyć w stanie ciężkim. A ja po prostu powiedziałam: „Dobrze. Będę w tym grała”. Jak on mnie znienawidził! Ja zresztą potem grałam to bez przekonania, bez ambicji, blado, a nawet z pewną cichą nadzieją, że spięprzę mu film. Nie cierpię, nie mogę grać za wszelką cenę.

F: *Jednak twój ostatni spektakl „Joanna Szczepkowska kontra fortepian” jest paradoksalnie dziełem — w znaczeniu twojej autonomii — pisarskim. Stworzyłaś je całe od początku do końca, tylko muzyki nie napisałaś.*

JSz: Zostawmy słowo „stworzenie” na coś innego, to tylko rodzaj spotkania z widzami. Ja to spisałam dawno temu, jako autorski recital złożony z moich różnych tekstów i to jest bliższe wypowiedzi pisarsko-publicystycznej, a może wręcz kabaretowi. Ale to nie jest wyzwanie teatralne. Zresztą źle się stało, że ten dość skromny spektakl zaistniał w dużej sali Kino-Teatru Bajka. Nie ten klimat. To jest raczej do jakiejś piwniczki. Zresztą sam pewnie wiesz lepiej, bo to widziałeś.

F: *Owszem, przede wszystkim miałem wrażenie, że jestem u ciebie jakby prywatnie, wręcz, przepraszam, jakbyś grała tylko dla mnie...*

JSz: Dziękuję. O to chodziło.

F: *I jeszcze cały czas kojarzył mi się „Kabaret Starszych Panów” i Młynarski, a szczególnie jego „Śpiewane felietony”.*

JSz: Tak naprawdę mówisz teraz o adresie: do kogo adresuje się to, co się pisze. Starszych Panów i Wojtkę łączyło zawsze jedno — oni adresowali swoje teksty >>>



do ludzi inteligentnych, wierząc w inteligentne poczucie humoru. Dla mnie zawsze pewien rodzaj dowcipu jest oczywisty, pewien rodzaj ironii jest oczywisty. Tymczasem to już nie jest oczywiste dla wszystkich.

F: *Mówimy równolegle o twoim pisaniu i o twoim aktorstwie.*

I wylania mi się z tego jeden nieodparty wniosek: łączenie obu tych czynności wydaje się czynnością schizofreniczną...

JSz: Owszem, panie doktorze... To jest jakieś rozdwojenie świadomości. I nie ukrywam, że jest to dla mnie coraz trudniejsze.

F: *Więc?*

JSz: A żebym to ja wiedziała. To jest rzeczywiście tak, jakbym siedziała w połowie na rowerze, a w połowie na motorze. Z jednej strony moje aktorstwo jest już rozpędzone. Dostaję jakieś propozycje udziału w różnych nowych niezależnych inicjatywach. Mam koperty z maszynopisami tekstów różnych autorów, reżyserów, żebym zagrała, i wiesz co? Nawet ich nie otwieram. Czasem naprawdę głupio mi, kiedy przechodzę obok kogoś, kto parę miesięcy czeka na odpowiedź, może myśli, że mi się nie podobało, a ja po prostu nie czytałam. No więc to jest chyba dowód na to, że coś mi się w głowie przekręciło, i nic na to nie poradzę.

Natomiast do pisania siadam chętnie. Teraz dostałam z telewizji propozycję napisania scenariusza. Wymyśliłam taki cykl – różni ludzie po rozwodzie, po latach spotykają się przypadkiem. Bardzo się tym zajęłam, ale kiedy mnie spytano, co ja w tym zagram, to sobie uświadomiłam, że taka myśl nawet nie przyszła mi do głowy. Bo to widzisz, u mnie z teatrem, z graniem coś się odczarowało. Ja zresztą nie mam zamiaru z tym skończyć, tylko muszę się naenergetyzować na nowo.

F: *Kiedy słucham tak o twoich zawodowych dylematach, przychodzi mi do głowy, dlaczego tak trudno podejmować ci ostateczne i jednoznaczne decyzje. W naszych czasach większość ludzi zadaje sobie bowiem arcyegzystencjalne pytanie „Gdzie zarabiać?”. I odpowiedź wtedy jest prosta: tam, gdzie najwięcej płacą. A ty chyba należysz do tych, którzy pytają: po co ja mam dalej funkcjonować.*

JSz: Owszem. Jeśli chodzi o zarabianie, niewątpliwie jestem desperatem. Ja się bardzo staram nie pracować dla pieniędzy. Nie jestem w stanie być bizneswoman sztuki. Kompletnie. Czytałam kiedyś o różnych rodzajach inteligencji. Pisano tam na przykład o takiej inteligencji, która pozwala poradzić sobie ponadprzeciętnie z wieloma trudnymi problemami, ale całkowicie zawodzi, gdy trzeba zapłacić zwykły rachunek telefoniczny. Niewątpliwie należę do tej kategorii.

F: *Gorąco polecam polecenie przelewu.*

JSz: Wiem, mam, ale wszystko jest proste, kiedy ma się w miarę stabilne konto. A ja nie mam etatu, w ogóle niczego stałego. Moje książki sprzedają się właściwie

fantastycznie, ale jeśli mam wybrać – wydawnictwo dobrze płacące czy prestiżowe, wybieram to drugie. Czasem przygotowuję się do kloszardowania i zastanawiałam się na poważnie, czy tak dałoby się żyć.

F: *Dość drastyczny pomysł.*

JSz: Mogę ci pokazać moje rysunki. Rysuję dużo i w zasadzie bezwiednie. W efekcie na nich zawsze są ludzie bardzo biedni, wyciągają coś ze śmietników. Może to jest jakiś mój mechanizm obronny, który pozwała mi zadać sobie pytanie, czy bym wytrzymała skrajną biedę. Jest taki plakat Caritasu, są na nim twarze dwóch bezdomnych i zdanie „Jutro to możesz być ty”. Tak. Jutro to mogę być ja.

F: *Patrząc od drugiej strony, twoje pytanie powinno by brzmieć:*

„Jak daleko się mogę posunąć, żeby zarobić pieniądze?”

JSz: No właśnie. Bardzo niedaleko się mogę posunąć.

F: *Dookoła setki ludzi nigdy nie wahają się, gdy dla kasy czy*

Potwornie mnie denerwuje wykreowanie mnie na wroga. Ja nie byłam nigdy w gabinecie u dyrektora, że gram za mało albo nie to, albo że znalazłam dla siebie rolę i chcę ją grać. Ja w zespole miałam swoje miejsce i nie chciałam mieć innego.

utrzymania swego statusu trzeba zrobić coś brzydkiego czy podłego. I nikogo wokół nich też to nie dziwi: „Przecież trzeba z czegoś żyć”.

JSz: Absolutnie trzeba. Ale tę ewentualną biedę trzeba mieć w głowie jako kapitał wolności. Brzmi to paradoksalnie, lecz uwalnia od wielu napięć. Naprawdę.

F: *Jeszcze jeden mam problem z tobą. Z jednej strony masz taki niezwykły kontakt z przeróżnymi ludźmi, co da się choćby wyczuć z twoich felietonów w „Wysokich Obcasach”. Z drugiej, istnieje też obraz Szczepkowskiej – konfliktowej baby. Tu się pożyła z Janą, tu Łukaszewicz ją zaskarży, bo go obraziła. Z czego to się lepi?*

JSz: Wiesz jak to jest z tym, co krzyczy, że mu ukradli zegarek. Ludzie słuchają w pośpiechu i nie bardzo wiedzą, czy on ukradł, czy jemu ukradli. Jedno, co wiedzą, że jest zamieszany w sprawę zegarka. Ja się z nikim nie pożarłam, tylko nie dałam się pożreć. Nikogo nie obraziłam, tylko nie pozwoliłam się obrazić.

– Rozmawiał Jacek Rakowiecki
Dokończenie na str. 124

F.O.Y.N.A. N. 17
05. 2005.



rozdwojona w świadomości.

rozmowa z Joanną Szczepkowską

KONTYNUACJA

DOKOŃCZENIE ZE STRONY 26.

W sprawie ZASP-u na przykład medialnie było mnie pełno, tak jakby mnie to strasznie obchodziło. A ja jestem zwykłym członkiem tej instytucji, która mnie raczej tylko sentymentalnie wiąże ze względu na ojca. Nawet nie wiem, czy mam legitymację. Natomiast kiedy zaczęła się ta sprawa między Łukaszewiczem a Kaczorem, to do mnie stałe dzwonili dziennikarze i koledzy – może ty coś powiedz. A ja mam swoje zdanie w tej sprawie i uważałam, że chowanie głowy w piasek jest owszem bezpieczne i rozsądne, ale nie bardzo w porządku. Dlatego mówiłam. Mówiłam ostro, bo sprawa była ostra. Gdyby jednak jakaś aktorka zwróciła się do mnie o radę, czy ma sprzedawać swoją twarz jako „oburzona działaczka”, to bym jej odradziła. Ale ja jestem osobą, która rzeczywiście w pewnych momentach desperacko mówi, co myśli.

F: To w polskiej kulturze nie jest przyjęte.

JSz: No więc w najlepszym wypadku określa się to jako „infantylizm”. I coś może w tym jest, może tylko dziecko może powiedzieć: „król jest nagi”. Tak właśnie się stało, gdy przed kilku laty napisałam w „Gazecie Wyborczej” tekst o haniebnych warunkach pracy w Teatrze Telewizji. No i to rozpętało cały tzw. konflikt z Jandą. Do dziś nie mogę zrozumieć, za co ona mnie tak napadła w odpowiedzi na ten artykuł. Ja pisałam o tym, że telewizja nie płaci w terminie, a ona, że jestem starszą panią. Ja napisałam, że Weksler mnie okłamał, a ona, że jestem przeciwko lekkiej kamerze. Ja o prezisie Kwiatkowskim i absurdalnym zebraniu z twórcami, a ona, że jestem przeciw młodym reżyserom. W odpowiedzi mogę tylko podać przepis na kaczkę pieczoną, żeby się utrzymać w konwencji absurdu.

Zresztą niedawno, po długiej przerwie i po tym jak Weksler odeszedł (to znaczy awansował), nagrałam jakiś Teatr TV i było tak jak trzeba. I zapłacili w terminie, i próby były, i liczba dni nagrań logiczna. Czy to dobrze wyszło, nie wiem. Ja lubię telewizję jako medium. To znaczy lubiłam. No ale cóż. Weksler ma teraz cały kanał poświęcony sztuce, tam będzie się decydować, co jest pokazane jako wydarzenie, czemu się kibicuje jako zjawisku artystycznemu. No, to ja raczej na murek.

F: Ale czy musiałas odchodzić z teatru?

JSz: Odeszłam z Teatru Powszechnego cicho, powoli odchodzić z przedstawień, bo po tej całej aferze, stojąc na scenie, miałam wrażenie, że nie mam przed sobą publiczności tylko kibiców. Jakiś tak stadionowo się zrobiło. Listy za albo przeciw, klaszczą bo są „za”, nie klaszczą, bo są „przeciw”, reagują na jakieś aluzje. Nie mogę.

F: Nie jesteś przewrażliwiona?

JSz: Może. Ale w rezultacie na jedno wychodzi. Potwornie mnie denerwuje to wykreowanie mnie na wroga. Gdybym chociaż była osobą pazerną na granie, to może rozumiałabym, ale ja nie byłam nigdy w gabinecie u dyrektora, że gram za mało albo nie to, albo że znalazłam dla siebie rolę i chcę ją grać. Ja w zespole miałam swoje miejsce i nie chciałam mieć innego. Prawdę mówiąc, mnie wołać mi trzeba do grania zaciągać i dość niefrasobliwie w swojej sprawie postępuję. Tego nie, bo za długie, tego nie, bo ramota, a nagle zgadzam się zagrać w jakimś bardzo zespołowym przedstawieniu, z góry skazanym na klęskę, tylko dlatego że reżyser ma depresję... Więc jestem bardzo słabą swoją menedżerką i w ogóle raczej zamyśloną wariatką uliczną. Nie chcę być dyrektorem teatru, nie chcę mieć pod sobą ludzi i nie stanowią żadnego zagrożenia, a mimo to coś się kłębi bez przerwy.

F: Dlaczego?

JSz: Bo widzisz, najgorzej jest wyśmiać kpiarza, zaskandalizować w sprawie skandalisty, powiedzieć prawdę tym, którzy głoszą, że trzeba mówić prawdę. Kiedyś omawiałam publicznie książki nominowane do Nike. Była tam skandalizująca książka Kingi Dunin. Siekała po wszystkich. Że zmurszały pałac, że autorytety fe, że nagrody literackie fe. Ale kiedy ironicznie zauważyłam, że oto autorka właśnie siedzi w pałacu i czeka na werdykt do nagrody literackiej, to wywołałam całą falę protestów ze strony feministek. Że to było nieeleganckie. To ja już nic nie rozumiem. Kiedyś powstała książka, w której autorki tak puściły fantazję, że musiałam im wytoczyć proces o zniesławienie. Jakieś potworności, jakby diabeł po tym chodził, sam bruk. Ja ten proces wygrałam w jeden dzień, bo tam naprawdę nie było co zbierać, ale to była poważna cezura w moim życiu. Zrozumiałam, że mam wrogów w tzw. kręgach, poczułam ich zimny oddech na karku, zaczęłam się bać. Nagle czytam jakąś wypowiedź Jandy na temat tej książki, gdzie z satysfakcją powtórzone są najgorsze i najbardziej upokarzające mnie cytaty; i ona z właściwą sobie bezwzględnością po prostu ogłasza, że wszystko, co tam jest o mnie napisane, to prawda. I że w imię tej prawdy można poświęcić czyjeś uczucia. Pamiętam, że czytałam ten tekst w samolocie, jechałam gdzieś odpocząć i odpoczynek miałam z głowy. Wróciły jakieś demony, poczucie zagrożenia i pytanie – dlaczego? Gdybym była osobą tak dbającą o swój wizerunek jak ona, to bym chyba oszalała w tym samolocie. Ale ja jestem spod chińskiego znaku węża. Ja się czaję. Czasem latami. No i napisałam prześmiewczy felieton o fatalnej reklamie, którą zrobiła. Waga tego felietonu w porównaniu z moim obrazem w tej książce to jak piórko do kamienia. A mimo wszystko, co się zrobiło! Dzika afery na całą Polskę! I wszędzie pisała, że ją szkalu-